

Korczak, jakiego znać nie chcemy

6 lutego 2013

ŻYCIE WIDZIANE PRZEZ ŚMIERĆ

Niestety, Rok Korczakowski ogłoszono w naszym kraju w związku z najmniej odpowiednią rocznicą. Bo oto śmierć Janusza Korczaka, oczywiście śmierć heroiczna, śmierć z miłości, śmierć będąca sprawdzianem idei, staje się nie tylko najważniejszym wydarzeniem z jego twórczego życia, ale także najważniejszym tego życia i tej twórczości przesłaniem. W tysiącach polskich szkół odbywają się, wymagane przez program i kuratoria, akademie i uroczyste lekcje pod takimi hasłami, jak „Wierność silniejsza niż śmierć”, „Miłość życiem płacona”, „Śmierć w imię dziecka”. Recytuje się wiersze o Korczaku, zawsze opowiadające o śmierci:

„Ukochał dzieci, które świat dorosłych obdarzył chłodem, głodem i przekleństwem, co ciężko przeszły swą króciutką drogę od urodzenia do śmierci męczeńskiej.” (Stefania Grodzieńska, „O Januszu Korczaku”)

„Idzie cień. Janusz Korczak, ten lekarz warszawski. Prowadzi poprzez getto dzieci z sierocińca, Dwoje ich wziął na ręce i wyszedł z dziedzińca. Jak ten, co na Golgotę krzyż dźwigał mozolnie, Idzie na miejsce kaźni. Idzie dobrowolnie.” (Antoni Słonimski, „Pieśń o Januszu Korczaku”)

„Któryś zmyślał baśnie, sam stałeś się legendą,
Któryś oszukał dzieci, że śmierć je rychła nie czeka,
Tobie dobroć i męstwo śmiertelną koszulę przędą
I pamięć o Tobie wzbiera jak rozlewista rzeka.
Idziesz z dziećmi i idziesz, idziesz bardzo daleko,
Tam, gdzie Giordano Bruno, tam, gdzie Ukrzyżowany”
(Włodzimierz Słobodnik, „Tren ku czci Janusza Korczaka”)

W latach 80. i 90. XX wieku, niejako przy okazji beatyfikacji i kanonizacji Edyty Stein, w niektórych środowiskach katolickich pojawił się postulat, aby beatyfikować także Korczaka. Postulat ten na szczęście nie doczekał się formalnej realizacji, jednak na naszych oczach spełnia się nieformalnie, ludowo. Oto polska, katolicka wyobraźnia zbiorowa anektuje niezwykle skomplikowaną i niejednoznaczną postać po to, aby przykrawać ją do bezpiecznego i oswojonego modelu świętego męczennika. W chrześcijańskiej martyrologii męczeńska śmierć ma tę zaletę, że z jednej strony może potwierdzać, a z drugiej – przekreślać uczynki i poglądy żyjącego świętego. W przypadku nawróconego łajdaka, niedowiarka czy poganina męczeńska śmierć będzie dowodem prawdziwości jego nawrócenia i unieważni wszystko, co miało miejsce przed nawróceniem. W przypadku postaci cnotliwej od narodzin, męczeńska śmierć będzie naturalną konsekwencją, ale także ostatecznym dowodem trwałości cnoty. W przypadku postaci skomplikowanych męczeńska śmierć będzie ich ostatecznym uproszczeniem, bo przecież nie powinno się szukać dziury w całym, a w życiu zwieńczonym męczeńską śmiercią niejasności, przesłań i momentów, nad którymi trzeba by się zbyt długo zastanawiać i konfrontować je z naszym wyobrażeniem o tym, co dobre, a co złe.

I tak oto w postaci Janusza Korczaka, człowieka, który kochał dzieci tak bardzo, że oddał za nie życie, ważne są zwłaszcza dwa elementy: miłość do dzieci i męczeńska śmierć. Co to znaczy kochać dziecko, to każdy, z wyjątkiem może psychopatów i skończonych cyników, jakoś sobie wyobraża, każdy też zdaje sobie sprawę z tego, że dzieci trzeba kochać, więc wszyscy mamy prawo widzieć w Korczaku patrona własnych wyobrażeń. Oczywiście wyobrażenia te wzmacniane są przez publikowane wielokrotnie fotografie Korczaka, ukazujące twarz zatroskaną i pełną miłości, może niepokoju o dzieci. Fotografie osób, bardziej niż dokumentalną, mają wartość testu projekcyjnego, można w nich ujrzeć to, co komu w duszy gra. Fotografie zmarłych mają także tę wartość, że są całkowicie statyczne, nie zmieniają się już, nie zaskoczą odbiorcy. A kiedy na

podstawie tych zdjęć tworzy się pomniki, wtedy odbiór zastyga razem ze spiżem lub betonem, z których monumenty te ulano.

Nie chcę tych pomników obalać, nie chcę też bagatelizować bohaterskiej śmierci Korczaka. Chcę tylko napisać, że skupianie się na tym jedynym epizodzie z życia Korczaka służy często zasłonięciu pozostałych. Poglądy Korczaka – i te na wychowanie, i te dotyczące życia społecznego w ogóle – są wciąż na tyle rewolucyjne, na tyle sprzeczne z powszechnie panującymi poglądami i przesadami wychowawczymi, z rodzinną i instytucjonalną praktyką wychowawczą, że nie chcemy się z nimi konfrontować, nie chcemy ich znać. Wpasowanie jednego z najciekawszych myślicieli i praktyków społecznych w odwieczny frazes o miłości aż po śmierć pozwala pozbyć się problemu z jego koncepcją i doświadczeniem[1]. Pozwolę sobie przytoczyć tu anegdotkę. Kilka lat temu zostałem poproszony, aby opowiedzieć o Korczaku i Domu Sierot w małej warszawskiej podstawówce. Dzieci bardzo chętnie słuchały o pomysłach Starego Doktora, o tym ekstrawaganckim domu dziecka, o gazecie, którą tworzyły dzieci dla dzieci, o sądzie, który zazwyczaj wybaczał, ale miał kompetencje osądzić, a nawet wyrzucić samego Korczaka; o zakładach ze złośnikami i o obieraniu kartofli. Pogadanka była więc udana, a gdy się skończyła, dzieci zaczęły zadawać pytania. Nie pamiętam wszystkich, ale w mojej głowie zachowało się szczególnie to ostatnie, które zadał chłopak może dziewięcioletni, taki, który wiercił się przez całe spotkanie i coś tam śmiesznego dogadywał sąsiadom:

– Proszę pana, a czy Korczak bił dzieci?

Sytuacja nieco niezręczna, ale wydawało mi się, że wybrnąłem:

– Był temu absolutnie przeciwny – mówiłem – bo uważał, że to okropne, że dorośli wykorzystują to, że są więksi od dzieci, aby siłą narzucać im własną wolę. Mówiłem wam już, że w Domu Sierot nie było kar, a kar fizycznych w szczególności. Ale Korczak, chociaż dzieci świetnie rozumiał, chociaż bardzo

starał się nad sobą panować, był nerwusem. Zdarzało się, że kiedy jakiś dzieciak załazł mu mocno za skórę, wytargał go za uszy, zlał po łapach, zdarzyło mu się jednego szczególnego łobuziaka chwycić za fraki i rzucić o drzwi. Korczak wstydził się tego. Jak się coś takiego zdarzyło, podawał sam siebie do sądu. Umiał przeprosić. Im był starszy, tym rzadziej mu się zdarzało. Sami wiecie najlepiej, jak dzieci potrafią wkurzyć, prawda? Zresztą, to były inne czasy, teraz już nawet największy nerwus wie...

Dzieci kiwały głowami ze zrozumieniem, one wiedziały. Ale dwie nauczycielki spoglądały na mnie takim wzrokiem, jakim pewnie patrzyła Meduza, gdy zamieniała ludzi w kamień. Jedna z nich ogłosiła koniec spotkania, a kiedy dzieci wyszły z sali, podeszła z pretensjami. Oskarżyła mnie nawet nie o przekazywanie treści nieodpowiednich dla dzieci, ale wprost o kłamstwo. Na nic były moje wyjaśnienia, na nic propozycje wspólnego przeczytania fragmentów „Jak kochać dziecko”, którego tekst miałem zresztą pod ręką. „Korczak kochał dzieci i nigdy, ale to przenigdy nie uderzył dziecka i nie ma potrzeby czytać czegokolwiek, skoro wiadomo...”.

Ach, muszę się teraz mocno wytłumaczyć, że choć podziwiam nie tylko myśl, twórczość i działanie, ale i samą postać Korczaka, a bicie dzieci uważam za barbarzyństwo, absolutnie nie napisałem tego, co powyżej, by Korczaka kompromitować, a tym bardziej jakkolwiek usprawiedliwiać czy relatywizować przemoc wobec dzieci. Korczak sam opisywał sytuacje, kiedy nerwy mu puszczały, ponieważ jego projekt wychowawczy był stworzony nie przez kamienny pomnik, nie przez statyczną fotografię i nie do pomników był adresowany. Korczak – neurotyk i choleryk, roztrzepany do granic możliwości, często humorzasty – pomimo tych cech podjął się pracy wychowawczej i kierował swoje pomysły do ludzi nie doskonalszych niż on sam. Wychowawców o stalowych nerwach nie ma (może byli w czasach, gdy nieznośnych wychowanków zsyłano na galery albo do karnych kompanii), a tam, gdzie się od wychowawcy wymaga perfekcyjnego opanowania,

tam w miejsce zabronionych zachowań wejdą takie, których się nie da zabronić, a które dla dzieci są nie mniej, a często nawet bardziej krzywdzące. I właśnie dlatego – taki pogląd przebija z wszystkich prac Korczaka – dzieciom potrzebny jest nie tyle święty, co system, który biorąc pod uwagę naturę dziecka, weźmie w karby niedoskonałego wychowawcę. System, który zresztą życie – kluczowe pojęcie w poglądach Korczaka – będzie weryfikowało i zmuszało do zmiany.

WYCHOWANIE PRZEZ ŚMIERĆ

To właśnie opozycja życie – śmierć jest osią korczakowskiego rozumienia wychowania, a także jego rozumienia kwestii społecznych w ogóle. Wychowanie dotychczasowe, a więc przynajmniej, także to, którego doświadczają dzieci czasów nam współczesnych, w dużej mierze polega na zarażaniu dziecka śmiercią. Dziecko nie ma doświadczenia śmierci, mimo że czasami się z nią styka i wyobraża ją sobie (a szczególnie dotyczyło to przecież sierot, z którymi Korczak pracował), a życie, którego przeżyło tak mało, widzi jako niemal nieskończenie długie. W swojej wyobraźni jest więc nieśmiertelne, a może lepiej powiedzieć, wyłącznie żywe, bo kategorią śmierci się po prostu nie posługuje. Żyje instynktownie i życia nie trzeba go uczyć. Dorosły nie tylko zdaje sobie sprawę z kruchości i ulotności życia, nie tylko przeżył już tyle, że wie, iż wcale tak wiele mu nie zostało, a więc życie wcale nie jest długie. Dorosły wręcz myśli o życiu w perspektywie śmierci, poświęcając większość czasu, energii, troski na jej odwleczenie, odsunięcie nieco w czasie, zapobieżenie, o ile to tylko możliwe, jej nagłemu czy nierychłemu, ale i nieuchronnemu zjawieniu się. W pewnym momencie zabiegi mające na celu odsunięcie śmierci są już tak intensywne, że w ogóle całe życie zaczyna być postrzegane w tym kontekście.

Śmiercią zaraża dziecko taki rodzic, którego miłość i troska nieustannie podsuwają wyobrażenie, że dziecko może zginąć, że może stać mu się krzywda. Zarażają dziecko instytucje

wychowawcze – przedszkole, szkoła, dom dziecka – w których najważniejszym kryterium działania jest uchronienie dziecka przed fizyczną szkodą, zapobieżenie wszelkim możliwym wypadkom. Zaraża śmiercią powszechne wyobrażenie o tym, że jeśli dziecku coś się stanie, jeśli poniesie ono jakikolwiek uszczerbek na zdrowiu, zawsze winny jest jego opiekun. Wychowawca największą odpowiedzialność – prawną i moralną – ponosi za zapewnienie dziecku fizycznego bezpieczeństwa i wszystkie inne swoje zadania może postrzegać jako drugorzędne. Czy rodzic, czy instytucjonalny wychowawca, będzie więc przede wszystkim zainteresowany tym, aby wpoić w dziecko obawę przed jakimkolwiek zachowaniem niosącym ryzyko fizycznej śmierci lub krzywdy. A że to właśnie wszelkie przejawy życia niosą największe ryzyko śmierci, staramy się, by dziecko żyło jak najmniej: nie biło się, nie biegało, nie brało do ust niczego, co nie zostało zweryfikowane przez wychowawcę, siedziało cicho i spokojnie w widocznym miejscu, aby się nie przewiało, nie zakrztusiło, nie przewróciło, nie zgubiło, aby nie zostało porwane, zgwałcone, zamordowane. To, że dziecko, którego życie jest przytłumione, cierpi, że – tak jak kwiat, któremu odebrano dostęp do słońca – nie ma szans na prawidłowy rozwój, nie interesuje nas wcale, skoro nasze zarażone śmiercią sumienie jest spokojne.

Korczak to cierpienie dostrzegł i oburzyło go ono wcale nie mniej niż cierpienie dziecka, któremu w ogóle odmawia się opieki, które się głodzi, zmusza do pracy ponad możliwości, wykorzystuje seksualnie czy krzywdzi fizyczną przemocą. To cierpienie tym większe, że sprawcy motywują je własną troską, miłością, poświęceniem, a więc pobudkami tak wzniosłymi i szlachetnymi, że zbuntować się przeciw niemu, choćby tylko w głębi serca, wydaje się dziecku niegodziwością. Wychowawca, który chce z dzieckiem żyć, a nie zarażać je śmiercią, powinien najpierw umieć to cierpienie dostrzec, a później uznać, że śmierć jest nieodłączną częścią i konsekwencją życia. Że dziecko powierzone jego opiece może zostać kaleką czy nawet umrzeć. Aby dać dziecku prawo do życia, należy dać

mu prawo do śmierci. I właśnie prawo do śmierci Korczak uznał za pierwsze, najważniejsze z projektowanych praw dziecka[2]. Niech ma prawo umrzeć, aby mogło żyć. A wychowawca, aby pozwolił dziecku żyć, musi mieć, musi umieć dać sobie prawo do pomyłki, do tego, aby dziecko powierzone jego opiece umarło.

PRACA I ŚMIERĆ

Człowiek dorosły pracuje najczęściej nie po to, aby realizować potrzebę twórczości, ekspresji, kontaktu ze światem i innymi ludźmi. Pracuje po to, żeby zarobić na jedzenie, dach nad głową, ubrania, lekarstwa, które dopiero pozwolą mu żyć i odsunąć nieco śmierć.

O tych jedzeniu, dachu nad głową, ubraniach czy lekarstwach rzadko myśli jako o czymś, co przynosi mu beztroską radość, ale najczęściej jako o uciążliwej konieczności, dzięki której może odsunąć śmierć lub zapobiec społecznej degradacji. Pracuje, żeby odłożyć coś na starość, żeby uniknąć poniżenia umierania w nędzy i poniewierce. Pracuje, aby zyskać wyższy społeczny status, który pozwoli mu przestać pracować lub zmienić pracę na mniej upokarzającą, co ma też ten efekt, że sama praca jest przez niego postrzegana jako nużąca, podła konieczność, sama w sobie nie będąca życiem, choć życie to warunkująca[3].

Istotny jest tu również fakt, że klasy postrzegane jako wyższe, a więc te, które zawłaszczyły nie tylko bogactwo i władzę, ale także narzuciły niższym klasom swoje poczucia estetyki, godności i honoru, albo nie pracują, albo wykonywane przez siebie zajęcia przedstawiają jako lepsze, piękniejsze, bardziej godne. W końcu więc dorosły całą swoją pracę, całą społecznie pożyteczną aktywność życiową zaczyna postrzegać przez pryzmat śmierci, każdą pracę postrzega jako poniżającą i wysysającą życiowe siły. Jediną wypracowaną przez wieki kategorią pozwalającą człowiekowi pracującemu zachować nieco godności jest poświęcenie. Człowiek, wykonując zajęcia ciężkie, wyniszczające, zabierające życie i postrzegane jako

niegodne, może poczuć się lepiej, jeśli wyjaśni sobie ich konieczność nie własnym dobrem, lecz dobrem bliskich, zwłaszcza dzieci, czy w ogóle innych ludzi. Tym samym jednak przerzuca własne upokorzenie na tych, wobec których się poświęca, obarczając ich odpowiedzialnością za własne cierpienie, nawet jeśli znoszone dzielnie. Mówi o tym narrator utopijnej powieści „Szkoła życia”, będącej artystycznym wykładem poglądów samego młodego Korczaka: „Mus, przyzwyczajenie czy „stępienie” – wreszcie poświęcenie – niewoliły ludzi do wykonywania czynności, które przesąd i nieświadomość uważały za poniżające i niegodne człowieka.”[4]

Takim, skażonym śmiercią, postrzeganiem pracy dorośli usiłują na wiele sposobów zarazić dzieci.

Jedni – to jest przykład zarażania śmiercią najmniej skomplikowany, choć najbardziej nas dziś oburzający – wykorzystują władzę nad dziećmi, aby je do pracy przymusić, jej efekty po prostu złupić i zaprząć do własnych celów, choć często tak czy inaczej uświęconych. Każą więc dzieciom – czy to z czystego cynizmu i łajdactwa, czy dla dobra rodziny albo instytucji opiekuńczej lub wychowawczej – pracować zarobkowo, przy czym zagarniają owoce tej pracy według własnego uznania, uważając, że dziecko jest na tyle dorosłe, aby pracować, ale nie na tyle, by decydować, na co spożytkuje owoce swej pracy.

Mamy tu do czynienia z niewolnictwem sensu stricto, i to nawet gdy wiejski dzieciak zaganiany jest przez ojca do pasania rodzinnych gęsi, miejski syn rzemieślnika do pomocy przy pilnej robocie, a córka do cerowania. Nie mówiąc już o takich przypadkach, o których nawet w Europie do dzisiaj się słyszy – przypomnijmy choćby niedawne doniesienia o prowadzonych przez Kościół sierocińcach w Irlandii – gdy domy dziecka lub ich personel utrzymują się z pracy podopiecznych. A gdy spojrzymy poza nasz kontynent, to zobaczymy szanowane korporacje, w których fabrykach zatrudnia się dzieci za głodowe wynagrodzenie. Jak pisał Korczak: „Praca dziecka ubogiego jest utylitarna, nie wychowawcza, nie liczy się z jego siłami ani

cechami indywidualnymi.”[5] Dziecko w takich przypadkach wykonuje pracę niechcianą, przymuszoną, z której efektów jest okradane i której głębszego sensu nie rozumie. Uczy się więc pracy martwej, może nawet nie zdawać sobie sprawy, że mogłaby ona dawać radość.

Inni – zwłaszcza rodzice zamożni, ale także, i to wcale nierzadko, instytucje oświatowe, wychowawcze i opiekuńcze – izolują dzieci od pracy. Opiekunowie, dla których własna praca jest koszmarem, daniną złożoną śmierci przez życie, są przekonani, że praca jako taka jest czymś podobnym. Chcą więc jak najdłużej chronić podopiecznych przed tak strasznym doświadczeniem, przekonani, że szczęśliwe dzieciństwo zapewnią tylko trzymając dziecko jak najdalej od wysiłku i obowiązku, tudzież aplikując wysiłek i obowiązek, ale wyłącznie „rozwojowy”, a więc taki, który będzie procentować w dalekiej przyszłości, gdy dziecko już dorośnie (najróżniejsze szkoły, kursy i lekcje). Przychodzą im w sukurs różne ideologie wychowawcze, a także gotowe przekonania (jak Korczak konsekwentnie je nazywa: przesady) klas wyższych, przenikające także do klas niższych, że dziecko powinno się bawić i uczyć, że taka właśnie aktywność jest zgodna z dziecięcą naturą i służy rozwojowi, a pracować, tym bardziej zarobkowo, nie powinno w żadnym wypadku. Kochający opiekunowie dbają zwłaszcza o to, aby dzieci im powierzone nie miały najmniejszego kontaktu z pracą uważaną za poniżającą, brudną, wstrętną, a więc taką, jaką zazwyczaj wykonują ludzie z klas najuboższych. W ten sposób dziecku tym bardziej narzuca się przekonanie, że pracy powinno się wystrzegać za wszelką cenę, a jeśli już życie je do niej zmusi, to będzie to poniżające. Że pracując nie żyje się, a co najwyżej zarabia na życie, na odwleczenie w czasie śmierci.

Jeśli wychowawca – wszystko jedno: rodzic czy pracownik stosownej instytucji – izoluje dziecko od pracy, twierdząc, że chce mu zapewnić lepsze lub dłuższe dzieciństwo, podarować szczęście, którego samemu nie było mu dane doświadczyć, dać

czas i możliwości nieskrępowanej zabawy itp., wtedy zaraża dziecko śmiercią, którą sam został kiedyś zarażony. Czyni dziecku krzywdę wcale nie mniejszą niż łajdak, który dla własnej korzyści zmusza dzieci do pracy ponad ich siły i możliwości. A w dodatku ma dla tej krzywdy mnóstwo usprawiedliwień, oczekuje wręcz za nią wdzięczności i od samego dziecka, i od społeczeństwa. Niejednokrotnie Korczak pisze o dzieciach, których potrzeba pracy była przez dorosłych tłumiona i które przez to więdły jak kwiaty, kiedy się im odbierze dostęp do słońca i wody. Janek, bohater „Dziecka salonu”, w tym właśnie widzi przyczynę swoich niedających się opanować neurastenii i smutku, które z koszmarnego, sytego dzieciństwa przenoszą go w pozbawioną celów dorosłość. Król Maciuś I z zazdrością patrzy na gazeciarzy i pomocników rzemieślniczych – swoich rówieśników, którym wolno w biegu i z wrzaskiem zarabiać na chleb.

PRACA JAKO ŻYCIE

„A przecież praca, czynność – to synonim życia – życia zdrowego, normalnego, jędrnego”[6] – pisze Korczak i konsekwentnie w swoich tekstach utożsamia pracę z życiem. Praca jest życiem, naturalnym i błogosławionym stanem ludzkiej aktywności, dającym człowiekowi radość, możliwość nie tylko podporządkowywania sobie świata przyrody (jak postrzegał ją np. mentor młodego Korczaka, Stanisław Brzozowski), ale także poczucia się częścią tego świata. Korczak uważa, że to właśnie praca powinna być i środkiem, i celem wychowania, tak jak środkiem i celem wychowania powinno być życie. Oczywiście nie taka praca, której owoce ktoś – czy to rodzinny, czy instytucjonalny wychowawca, a później feudał, kapitalista, państwo – przechwyci i wykorzysta według własnej woli. Oczywiście również nie taka praca, która będzie służyła podporządkowaniu sobie innych ludzi i ich życiowej aktywności.

Wychowuje się dziecko przez pracę i dla pracy, czyli przez życie i dla życia. I tym właśnie różni się najgłębsza, aksjologiczna podstawa korczakowskiego systemu wychowania od

podstaw systemów współczesnych mu reformatorów pedagogiki, takich jak Georg Kerschensteiner, John Dewey, Maria Montessori czy Anton Makarenko. Korczak – inaczej niż oni – uważa, że wychowuje się nie dla państwa, nie dla pracodawcy czy rynku, nie dla społeczeństwa, nie dla zbawienia, ale po prostu dla życia. Owszem, z takiego wychowania państwo czy społeczeństwo (a może i Niebiosy) mogą odnieść korzyści, ale niejako przy okazji. To właśnie życie, każde inne, każde odmienne, jest celem samym w sobie. Wychowanie to nie tylko przygotowywanie do życia, ale właśnie życie, i nie da się lepiej człowieka do życia wychować, niż po prostu żyjąc z nim i pozwalając mu żyć.

Według Korczaka wcale nie jest tak, że życie dziecka realizuje się przede wszystkim w bezcelowej i beztroskiej zabawie. „Zabawa jest nie tyle żywiołem dziecka, ile jedyną dziedziną, gdzie mu zezwalamy na inicjatywę w węższym lub szerszym zakresie. W zabawie dziecko czuje się do pewnego stopnia niezależnym. Wszystko inne jest przelotną łaską, chwilową koncesją, do zabawy dziecko ma prawo. [...] Kijek nie jest dla dziecka koniem, ono w braku prawdziwego musi pogodzić się z drewnianym. Jeśli na przewróconym krześle płyną po pokoju, to nie jest to przejażdżka łódką po stawie.”[7] „To nieprawda, że dziecko nie lubi pracy. Liczne zabawy dzieci są pracą. Jeśli we czworo budują szałas, kopią skrawkiem blachy, szkłem, gwoździem, wbijają kołki, wiążą, pokrywają dachem z gałęzi, mchem wyścielając, pracując na przemian z wysiłkiem i milcząc, to ospale, ale projektując ulepszenia, rozwijając dalsze plany, dzieląc się wynikami zdobytych spostrzeżeń – to nie zabawa, a nieumiejętna praca niedoskonałymi narzędziami, niedostatecznym materiałem, więc mało owocna, ale zorganizowana tak, że każde, zależnie od wieku, siły, kompetencji, wkłada tyle wysiłku, na ile je stać.”[8]

Tym bardziej dzieci lubią pracę celową, taką, która przynosi widoczne efekty. Czyli dzieci nie różnią się tu specjalnie od dorosłych, poza tym, że żyjąc krótko, mają inną perspektywę tego, kiedy praca przynosi efekty. Dorosły może czekać na

efekt swojej pracy kilka lat, dziecko porzuci aktywność, gdy zorientuje się, że nie jest w stanie ogarnąć wyobraźnią czasu potrzebnego na uzyskanie owoców, przez co straci poczucie jej sensowności. Ale jeśli tylko będzie mogło sobie wyobrazić, że praca osiągnie cel, powróci do niej z zapałem. Oczywiście dzieci, tak jak i dorośli, mają w zwyczaju migać się od niechcianego obowiązku, unikać zmęczenia czy znużenia, oszukiwać przy pracy, spychać niechcianą robotę na innych itp. Ale nie można przyjmować, że jest to skłonność wyłącznie dziecięca i z tego powodu dzieciom pracy szczędzić.

Wychowawca nie powinien obawiać się także dziecięcych łez i fochów służących wyłganiu się od obowiązku niechcianego w danym momencie. System korczakowski w żadnym wypadku nie był wolny od przymusu, tak jak i życie człowiekowi przymusu nie szczędzi. Dzieci powinny znać pojęcie przykrego obowiązku, oczywiście niektórych obowiązkowych prac nie znoszą, i to należy uszanować, choć nie ulegać. Należy za to starać się je przekonać, że nie ma obowiązku upokarzającego czy poniżającego. Mycie klozetu po maluchu, który jeszcze nie potrafi sam tego zrobić, czy pilnowanie, aby dokładnie się podtarł, to tak samo szczytne czynności, jak dające poczucie satysfakcji pilnowanie, aby po załatwieniu się dokładnie umył ręce. Są pracą szczytną i przede wszystkim celową, bo jej efekt może dziecko zauważyć od razu lub bardzo szybko: a więc w zrozumiałej dla siebie perspektywie.

WYCHOWANIE PRZEZ PRACĘ I DLA PRACY, PRZEZ ŻYCIE I DLA ŻYCIA

I właśnie taka praca obecna była w praktyce instytucji wychowawczych Korczaka: na koloniach, w Domu Sierot i w Naszym Domu. W każdym momencie podkreślano oraz pozwalano dzieciom doświadczyć użyteczności i celowości ich pracy. Dzieci wykonywały wszystkie te działania, które nie wymagały umiejętności bardzo fachowych, takich, na których nauczanie się potrzeba czasu przekraczającego możliwości dziecka. Dorośli fachowcy naprawiali więc instalację elektryczną czy hydrauliczną, ale to dzieci wymieniały przepalone żarówki lub

przygotowywały kolegom kąpiel. Zdiagnozowanie i opatrzenie bolącego ucha wymagało interwencji dorosłego lekarza, ale dziecięce kompetencje były wystarczające do obcinania kolegom paznokci lub przeglądania, czy w ich włosach nie zagnieździły się wszy. Dorosła, doświadczona kucharka przyrządzała smaczne potrawy, ale dzieciom wystarczyło wprawy i umiejętności do obierania ziemniaków, przynoszenia wody i węgla, zmywania po śniadaniu czy obiedzie. I co więcej: umiejętności tych doświadczeni wychowankowie uczyli nowych, nadzór nad pracą dzieci także powierzony był dzieciom, a dorośli starali się, o ile to tylko możliwe, nie ingerować w konsekwencje zaniedbań lub złej pracy dziecięcych pracowników. Jeśli dyżurni, którym powierzono obranie kosza ziemniaków, po obraniu kilkunastu porzucili obowiązek, wtenczas wszyscy – dzieci i wychowawcy – jedli rzadką zupę. Jak najmniej ingerowano także – to bardzo istotne – w sposób wykonania pracy. Praca miała być zrobiona na czas, a jeśli ktoś poradził sobie z nią szybciej, było jego sprawą, czy pomoże mniej sprawnym kolegom, czy będzie się obijał.

Praca dzieci na rzecz Domu Sierot była w dużej mierze płaćna[9], a honoraria za jej wykonanie młodzi pracownicy mogli wykorzystać zgodnie ze swoją wolą. Tak wyjaśniał to sam Korczak: „Jakkolwiek w Domu Sierot tylko część dyżurów jest płaćna, jestem zdania, że wszystkie powinny być płaćne. Chcąc wytworzyć dobrych obywateli, nie mamy potrzeby tworzyć idealistów. Dom Sierot nie robi łaski, opiekując się dziećmi, które nie mają rodziców, a zastępując w materialnej opiece zmarłych rodziców, nie ma prawa nic żądać od dzieci. Dlaczego nie mamy możliwie wcześniej nauczyć dziecka, czym jest pieniądź, wynagrodzenie za pracę; aby czuło wartość niezależności, którą daje zarobek; aby poznało dobre i złe strony posiadania. Nie wychowa żaden wychowawca stu ideowców ze stu dzieci, samorodnie wyłoni się ich kilkoro, a biada im, jeśli nie będą umiały liczyć. Bo pieniądź daje wszystko prócz szczęścia; daje nawet szczęście i rozum, i zdrowie, i moralność. Naucz dziecko, że daje i nieszczęście, i chorobę,

że rozum odbiera. Niech za zarobione pieniądze naje się lodów i niech je brzuch rozboli; niech przez dziesiątkę pokłóci się z przyjacielem; niech przegra, zgubi, niech mu ukradną; niech i pożałuje, że kupił, niech połakomi się na dochodowy dyżur i przekona, że nie było warto, niech zapłaci za wyrządzoną szkodę.”[10]

Wychowankowie Domu Sierot – dziesięcio-, dwunastolatki – pracowali często także na zewnątrz: jako gazeciarze (praca gazeciarza fascynowała Korczaka jako jakby stworzona dla dziecka: dużo ganiań, krzyku, ale odpocząć można, kiedy się chce, a nie kiedy każą, im więcej się robi, tym więcej zarobi, efekt w postaci monety widoczny natychmiast), u rzemieślników, pomagając w handlu itp. Były wśród nich i takie, które swoim zarobkiem znacząco pomagały rodzinie, ale był to ich własny wybór. Każdy człowiek, niezależnie od wieku, ma prawo rozporządzać swoim zarobkiem. Skoro może pracować, może wydawać, choćby i głupio. Ale zawsze lepiej, jeśli dziecko (i w ogóle człowiek) pieniądze zarobi, niżby miało, np. wykorzystując swoją umiejętność manipulowania uczuciami opiekunów, zagarnąć je i stać się małym wyzyskiwaczem. Bo powtórzmy: praca i zdobywanie środków do życia są życiem samym w sobie, a wszelkie próby chronienia dziecka przed życiem wynikają z dorosłego zarażenia śmiercią.

DAJMY IM ŻYCIE

Dziś nie chcemy pamiętać, że nożyk do obierania ziemniaków, ścierka i szczotka do klozetu były nie mniej istotnymi emblematami korczakowskiego systemu wychowawczego niż sąd, gazeta czy pełna zrozumienia rozmowa z wychowawcą. Że potłuczone kolana, rozbite nosy i blizny na buziach mogły być świadectwem nie złego, ale dobrego wykonywania obowiązków przez wychowawcę. Że były świadectwem życia, czyli – to może warto powtórzyć – jedynego korczakowskiego środka i celu wychowania.

Wyobrażamy sobie Korczaka jako zawsze otoczonego gromadką

dzieciaków (jak na jego znanych fotografiach), które zawsze do niego lgnęły, mimo że on sam, z konsekwencją godną zauważenia, pisał o takich, które go nie znosiły, które odliczały dni dzielące je od opuszczenia Domu Sierot. Może warto o tym przypominać? Nie po to, aby Korczaka zrzucić z pomnika, nie po to przecież, żeby dowodzić, że był złym wychowawcą. Ale właśnie po to, aby podkreślić, że dzisiejszy powszechny wizerunek Starego Doktora nie ma nic wspólnego z jego życiem (ani w ogóle z życiem), działaniem, systemem wychowawczym. Wielu jest nauczycieli, którzy chcieliby Korczaka – tego współczesnego świętego – naśladować, a że nie wiedzą jak, idą za wyobrażeniem mężczyzny o szlachetnej, zatroskanej twarzy, do którego dzieci się garną. I tę swoją szlachetność, wyraz zatroskania na twarzy, to garnięcie się dzieci biorą za sprawdzian własnych pedagogicznych kwalifikacji. Może nawet rozważają w wyobraźni, czy w sytuacji ostatecznej dokonaliby korczakowskiego wyboru.

Ale czemu to służy? Jak wielokrotnie pisał sam Korczak, wyrazy miłości i wdzięczności dzieci można kupić za fałszywą monetę, oszukując w ten sposób i je, i siebie samego. „Przystroiliśmy dzieci w uniform dzieciństwa i wierzymy, że nas kochają, szanują, ufają, że są niewinne, łatwowierne, wdzięczne. Gramy bez zarzutu rolę bezinteresownych opiekunów, rozrzewniamy się myślą o ponoszonych ofiarach i, rzecz można, dobrze nam z nimi do czasu.”[11] Zatroskanie i miłość do dzieci mogą być objawami zarażenia śmiercią. A rozważanie tego, jak zachowalibyśmy się w sytuacji, w której moglibyśmy się znaleźć, ale się nie znaleźliśmy, nie ma chyba większego sensu.

A może właśnie warto by zapomnieć choć na chwilę o świętym Starym Doktorze, który zginął męczeńską śmiercią, zerknąć w przyżółcone książki Janusza Korczaka i zastanowić się nad tym, jak dzisiejszym dzieciom oszczędzić zarażenia śmiercią. Jak dzisiejszym dzieciom, dzisiejszym wychowawcom, dzisiejszym ludziom – pozwolić żyć.

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie.

PRZYPISY

[1] Ciekawe jest to, że z okazji Roku Korczakowskiego kilka polskich wydawnictw zdecydowało się wznowić książki Korczaka dla dzieci, wydana została świetna biografia Joanny Olczak-Ronikier oraz kilka biografii popularnych i książek wspomnieniowych, ale „Jak kochać dziecko” wydano ostatnio w niewielkim nakładzie 10 lat temu. Rynek się nasycił.

[2] Wzywam o magna charta libertatis, o prawa dziecka. Może jest ich więcej, ja odszukałem trzy zasadnicze: 1. Prawo dziecka do śmierci. 2. Prawo dziecka do dnia dzisiejszego. 3. Prawo dziecka, by było tym, czym jest (Janusz Korczak, Jak kochać dziecko [w:] tegoż, Dzieła, t. 7, Warszawa 1993, s. 43).

[3]Widzimy tu wyraźne echo poglądów Marksa i jego koncepcji alienacji pracy. Korczak jednak widzi objawy tej alienacji nie tak jak Marks najsilniej w pracy robotników najemnych, dla których praca jest obca również dlatego, że nie jest ich własnością, ale w równym stopniu także np. w pracy rzemieślników i handlowców utrzymujących się z pracy własnej, czy członków elit, którzy muszą pracować, aby utrzymać status, bo oni, choć pracują dla siebie, również są niewolnikami pracy, ponieważ oddają jej swoje życie, pracują, aby żyć, a nie pracują – żyjąc.

[4] Janusz Korczak, Szkoła życia [w:] tegoż, Dzieła, t. 4,

Warszawa 1998, s. 65.

[5] Janusz Korczak, Jak kochać dziecko [w:] tegoż, Dzieła, t. 7, Warszawa 1993, s. 84.

[6] Szkoła życia, s. 33.

[7] Jak kochać dziecko, ss. 83–84.

[8] Tamże, ss. 84–85.

[9] W różnych czasach było z tym różnie, w zależności od tego, jakimi środkami dysponowało Towarzystwo „Pomoc dla sierot”. Nie jest celem niniejszego artykułu historyczna rekonstrukcja zmieniających się warunków Domu Sierot (ciekawym można polecić książkę Idy Merżan Aby nie uległo zapomnieniu. Rzecz o Domu Sierot, Warszawa 1987. Sporo o tym pisze też sam Korczak w Jak kochać dziecko, a cytowane wydanie tej książki zawiera obszerne przypisy i wyjaśnienia), lecz wskazanie na korczakowskie utożsamienie pracy i życia oraz na doniosłe znaczenie pracy w poglądach pedagogicznych Korczaka.

[10] Tamże, s. 289.

[11] Tamże, ss. 92–93.